Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

CENA 1 ZŁ.

ILUSTROWANE STUDIO

Wychodzi pod naczelną redakcją Henryka Czesława Oppenheima.

ROK I. 1 LUTY 1929 R. Nr. 1.

KUPONY DO KIN



KUPONY DO KIN

Śliczna, pełna uroku i temperamentu hr. Rina de Liguoro w roli głównej w nowym fascynującym filmie „Barka miłości". Wł. Schoenborn-Film, Warszawa.

ILUSTROWANE STUDIO

DWUTYGODNIK ARTYSTYCZNY

Na nowym szańcu kultury.

Szczęśliwie przeżyliśmy już okres niesławnego osbkurantyzmu w dziedzinie kinematografji. Powoli kroczymy (zawsze jednak na szarym końcu) po drodze zrozumienia i właściwej oceny znaczenia filmu, w jego tak zróżniczkowanych wartościach, jakie się kryją, w tem najmilszem dziecku zdobyczy techniczno-artystycznych współczesnej doby.

Film! Kino!!

Ileż w tych dwóch słowach pulsuje życia! ileż barwnej treści! fascynującej masy „górne i dolne".

W triumfalnym swym pochodzie po całym globie ziemskim — film, ukazując nam wizje życia we wszelakich jego tonacjach i barwach, musiał oczarować ludzi i musiał zniewolić ich do utrzymywania ze sobą trwałego i przyjacielskiego stosunku.

Niestety ciepło i serdeczność, z jaką się do kinematografji odnosi „prywatne" społeczeństwo, paraliżowane są często lodowem tchnieniem osobistości, dzierżących komunalne rządy dusz.

Opieka nad kinematografją, tak czuła we wszystkich państwach, u nas jest bardzo niedostateczna; co więcej koszmar przymusowych spółek z magistratami w formie kilkudziesięcioprocentowego podatku widowiskowego, nie może przyczynić się do rozwoju tej gałęzi przemysłu.

A przecież film w sprzyjających warunkach może się stać bezkonkurencyjnym instrumentem propagandy kultury pod różną jej postacią! Jako aparat oświatowy dla szerokich mas jest u nas kinematografja prawie, że w zupełności nie wykorzystana.

Wszystkie dotychczasowe posunięcia czynników rządowych, jak stworzenie centralnego biura, rozporządzenie w sprawie klasyfikacji wartości filmów i przydziału ich do poszczególnych grup podatkowych i t. d. nie dają jeszcze warunków, sprzyjających „rozbudowie" rodzimej sztuki filmowej, przemysłu filmowego i sieci kinematografów, uginających się pod niespotykanym w żadnym kulturalnym kraju ciężarem „sześcioprzymiotnikowego" podatku.

Walka o bardziej ciepły stosunek ze strony odpowiedzialnych czynników do kinematografji prowadzić musi nietylko prasa fachowa lecz i codzienna, jako pionierka i apostołka niekłamanego postępu, szerzenia i umiejętnego korzystania z darów kultury.

Miastu naszemu przybywa nowe pismo, poświęcone kinematografji „Il. Studio". Powstanie tej placówki powitać należy z radością i z życzeniami najpiękniejszego rozwoju. Ogół bywalców kinoteatralnych choćby nawet najgorętszych miłośników filmowych, jest stosunkowo z całokształtem spraw kinematografji mało obznajmiony, a przecież wszyscy powinniśmy się interesować nią, choćby z tego tytułu, iż daje nam ona najpopularniejszą, łatwo dostępną, godziwą i w wielu wypadkach bardzo kulturalną rozrywkę. W warunkach naszego szarego życia, zbyt wiele tych rozrywek nie mamy. Musimy więc czasem wejść za kulisy i podpatrzeć jak ta X Muza wygląda, nietylko prezentowana przez gwiazdorów i gwiazdy ekranu, lecz również obnażona ze swych masek ułudy i pozbawiona świateł wielkich jupiterów, a postawiona przed lustrem codziennej i bardzo prozaicznej rzeczywistości.



„Barka miłości"
Piękny film włoskiej produkcji. Wł. Schönborn-Film, Warszawa.

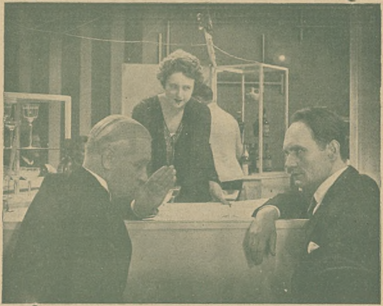
Takie bliższe poznanie się spotęguje uczucie sympatji ze strony publiczności do kinoteatru, a w konsekwencji, musi wpłynąć na zmianę dotychczasowej „oficjalnej" atmosfery, której skutki właśnie pośrednio ta publiczność ponosi.

Henryk Pietrzak.

Rola aktora i reżysera w filmie.

Rozkwit kina jest oszałamiający, zakres zasięgu promienia jego popularności obejmuje niemal całą kulę ziemską, tempo rozwoju wprost błyskawiczne; a jednak z ubolewaniem musimy stwierdzić, że pomimo nieokiełznanego wprost pędu do szkolenia coraz to innych dróg pomimo różnych zdobyczy zarówno technicznych (zdjęcia, światła i dekoracji) jak artystycznych (scenarjusze, reżyser, gra aktorów) odczuwamy wyraziście prawie w każdym filmie — brak jednolitej koncepcji. Aktor i reżyser, umyślnie nadałem ten tytuł, aby uzmysłowić dwie potęgi rządzące ekranem i nadające mu w zależności od hegemonji, której z tych sił zgoła odmienne oblicze. Zależy mi przedewszystkiem na jednolitej koncepcji, pierwiastku koniecznym, przy braku której żadne dzieło sztuki, czy to ma miejsce w filmie, malarstwie, czy muzyce nie będzie pełnym i należytym wyrazem jakiejś idei. Mówimy o filmie, konieczny więc jest zasadniczy podział do wartości jakie sobą przedstawia, a więc istnieją filmy będące pod hegemonją aktora i filmy tworzone przez reżysera. W pierwszym wypadku (pod hegemonją artysty) aktor, nazwijmy go ordynarnie gwiazdą, rozbija całość filmu, zniekształcając go i naginając w taki sposób, aby tylko mógł ukazać publiczności w całym blasku swój bogaty talent odtwórczy. Mamy wtedy obrazy przeładowane gierkami, trikami i t. p. popisami, które wzbudzają może podziw, ale nie dają pełni zadowolenia artystycznego, nie mają bowiem jedności kompozycji. Reżyser wtedy ma bardzo niewdzięczną rolę: musi iść po linji podciągania wszystkiego i wszystkich dla stworzenia tylko tła dla danej jednostki (czytaj gwiazdy).

Z takiego filmu wrażenie zostaje tylko od osoby głównej i jej wykonania roli, z tego też powodu bogactwo wrażeń się zwęża. Prawie wszystkie obrazy Janningsa są tego typu z wyjątkiem Variete w którym ujawniła się współpraca z reżyserem, jest to jeden z jego pierwszych filmow i dlatego może tam właśnie, ta tak rzadko spotykana harmonja i łączność dwóch głównych czynników kina, się uwydatniła. Mało tego jeszcze, że reżyser nagina się do t. zw. gwiazdy, spotykamy jeszcze filmy skomponowane i reżyserowane przez ową gwiazdę. Charlie Chaplin np. w większości wypadków sam kieruje swoimi filmami. Nie można jednak zapominać, że prawdziwy talent reżyserski jest sztuką należytej kompozycji filmowej i ze względów tej kompozycji koniecznem jest właśnie, maksymalne wykorzystanie talentu aktora. Reasumując wszystkie pro i contra: mamy w pierwszym wypadku, być może, nawet genjalne momenty, lecz za to w drugim syntetyczną całość, która stanowi podłoże każdego dzieła sztuki, a więc nietylko kina, ale również drugiego krańca — literatury. Hegemonja aktora w kinie świadczy o jego młodym wieku, ponieważ i teatr w swoim czasie przeżywał odpowiedni okres. Dzisiaj widzimy w przybytku Melpomeny nastawienie w kierunku inscenizacji, która jest początkiem i końcem — kwintesencją dzieła jako takiego. Na dowód słuszności mego twierdzenia, przypomnę parę filmów, np.: „Dwie sierotki", „Wschód słońca", „Anioł ulicy", „Nieludzka", w których aktor nie był, że się tak wyrażę, zabity przez reżysera: przeciwnie — był umiejętnie wykorzystany, dał maximum tego co mógł.



„Prokurator oskarża"
Dramat namiętności i szału.
Wł. Wirfilm, Warszawa.

Przeżywaliśmy wraz z aktorem jego rolę, ale wzruszyły nas również pewne drobne szczegóły, przy odpowiedniem podkreśleniu i należytej koncepcji scen.

W filmach takich działają na nas równorzędnie wszystkie jego pierwiastki, ponieważ obrazy te są oparte na przewodniej koncepcji — idei.

Wychodzimy wtedy z kina pod wrażeniem syntetycznej całości, harmonji i wrażenia te są biegunowo różne od uczuć obudzonych przez film jednostkowy.

Konstanty Mackiewicz.

Z życia gwiazd filmowych.

Znana amerykańska aktorka filmowa Barbara Kent bawi obecnie w Europie i wkrótce będzie kreować rolę tytułową w jednym z monumentalnych filmów niemieckiej produkcji Universalu, pod dyrekcją Pawła Kohnera. Ostatni film Barbary Kent „Samotni" (Lanesome), wyświetlany w Anglji i Ameryce przyniósł świetnej aktorce niebywały sukces. Po premierze tego filmu publiczność była tak rozentuzjazmowana, że entuzjazm ten ogarnął również prasę i sztab dyplomatyczny. W rezultacie prezydent Coolidge zaprosił znakomitą aktorkę wraz z jej partnerem Glenn Tryonem do siebie do Waszyngtonu. Po parudniowym pobycie w Waszyngtonie, udała się Barbara do Europy.

Resumé filmowe.

W lasach polskich.

Im bardziej się mnożą filmy polskie, tem bardziej stajemy się surowszymi w ocenie. To trudno. Ciągle tolerować zastój twórczy — względnie cofanie się, względnie powtarzanie — to wyrok śmierci na naszą produkcję krajową. Zrazu „brano" nas na patrjotyzm: ułany, pędzące na tle polskiego krajobrazu — Piłsudski — Poniatowski — Ostrobrama — Grób Nieznanego Żołnierza — to czarowało nas, wzruszało i — co gorsze — zamykało nam usta. Tymczasem wytwórcy owych filmów robili doskonałe interesy i — osławiali wobec swoich i obcych — wytwórczość polską filmową.

Pan Forbert uderzył swoim filmem w inną nutę, niemniej nam drogą. We współżycie nasze dziejowe, uczuciowe z żydami. I znowu skrępował nasz sąd. Z trudem więc otrząsamy się z tego wrażenia „Z niewoli serca" i oddając pełną cześć zasadniczej, obywatelskiej i patrjotycznej tendencji filmu „W lasach polskich" musimy go osądzić, jednakże, ujemnie. W filmie p. Forberta jest pięknym tylko krajobraz. I oto zaczyna nas niepokoić ten coraz bardziej się wybijający w polskiej kinematografji pierwiastek „fotograficzności".



„Biały pająk".
Sensacyjny film wytw. „Gaumont", ze znakomitą Marją Paudler w roli głównej.

Podczas gdy cały wysiłek twórczy, europejski i amerykański, idzie obecnie w kierunku filmu kameralnego — my upieramy się i doskonalimy w kierunku pleinairowym. Cudne są i „fotogeniczne" polskie lasy, drogi, rzeki, jeziora i góry — ale celem kinematografji nie jest fotografja krajobrazu. Ta należy może do repertuaru t. zw. aktualności. Poza krajobrazem zaś, nie dał nam niczego p. Forbert. Trudności historyczne przeskoczył, redukując pułki skądinąd świetne, do garstki handełesów — bohaterską śmierć pułk. Berka Joselewicza do jasełkowej szopki, w której kilku ludzi macha szabelkami, jak parasolami, a bohater pada bez żadnej umotywowanej przyczyny. (Wygląda jakby Leszczyńskiego apopleksja trafiła ze strachu przed własnym koniem). Te konie!!! To „najście wroga" na tle ślicznych wiklin i brzoz, przed którem „trwoga padła na naród"!!! Kilka szkap, wlokących się resztkami sił — a ta królewna Wanda, tonąca jak worek na Wiśle!! Okropność! Okropnością jest też bal u Strahla. Wulgarne damy, ubrane w jakieś portjery i kapy z łóżek, przetykane tu i owdzie kwiatami z bibułki — niezgrabny, ordynarny Gilven Rick, z głową satyra i nogami jak obwarzanek.

Typy starych żydów szlachetne i piękne — mimifikacja pewna postaci cadyka z Kocka, bardzo udana i niepozbawiona poezji — cienie na marach — szukanie topielca na wodzie — nadzwyczaj artystyczne (choć konia z rzędem temu, ktoby podobnym systemem topielca odnalazł!) pozatem tylko — minus! Kto wpadł na pomysł powierzenia roli młodzieńczyka, bujnego, wesołego, beztroskliwego Mordchele, temu pokracznemu typowi, odpowiadającemu typom czarnych charakterów, „szpionów", nieinteligentnemu, pozbawionemu wszelkiego romantyzmu, natomiast pełnego karczemnej jakiejś, głupkowatej lubieżności i arogancji?! Boso nie mnie chodzić, więc ieszcze potęguje swoją groteskowość i niezdarność, podskakującym chodem. Kobiety wszystkie są karykaturalne, z czarnymi niepolakierowanymi zębami, ze szminką króląćwieczkową, grube, nieociosane. Ładna jest tylko Luba Dilris i — w końcowej scenie pod drzewem — na sekundę — Diana Blumfeld. Nowowiejski trochę szarżował i też boso chodzić nie umiał, ale miłego kreował pastuszka w stylu Kostrzewskiego. Śmiesznie wypadła i niezrozumiale, przewlekła scena „zgubienie" Mordchele. Ten okrzyk Dwojry „jak mogłeś Mordchelego zostawić samego w lesie"?! doprowadza do homerycznego śmiechu, bo niby dlaczego ten tęgi i zdrowy bencwał nie mógł pozostać sam w lesie, nikt nie pojmie, ani tego straszliwego zamieszania we wsi na wiadomość o tem. Fakt, że p. Silven Rich pozostał w lesie, czy w stercie słomy, sam, na 12 godzin, „robi" na ekranie daleko większą tragedję i rumor, niźli najście „niemców" Rutigiera na kraje Królewnej Wandy, czy też sama rzeź pułku Joselewicza i jego śmierć. Jak niewyzyskany jest moment, kiedy samotny koń ciągnie zwłoki bohatera żyda Joselewicza! Groźnym konkurentem Rin-Tin-Tina okazał się Dolly Bolly. Tylko Rin-Tin-Tin ma zawsze role szlachetne, a naszym polskim Rintintinem szczuje się biedne koty. Reasumujemy: tendencje dobre i obywatelskie, zdjęcia piękne — zespół fatalny — reżyserja słaba. Film nieudany.

Wołga, Wołga... Turżańskiego poznaje się tu z każdej sceny i każdego szczegółu. Wołga to dzieło głęboko wzruszające, ludzkie na wskroś, przy całej legendarności tematu. Namiętności wrą, doktrynerstwo reformatora pada u malutkich stopek dziewczęcych jak zawsze, jak zwykle — i dzieło obraca się wniwecz, przez malutkie stopy dziewczęce podeptane... Jest multum niedopatrzeń reżyserskich drobnych, ale zdumiewających w tym obrazie, mającym tyle pietyzmu dla szczegółów historycznych. Naprzykład kręci się po ekranie prześliczny piesek — gra lepiej od samego



„Prokurator oskarża".
Frascynujący film z Bernardem Goetzkem w roli głównej, porywa widzów swą wspaniałą, pełną ekspresji kreacją.
Wł. Wirfilm, Warszawa.

Schlettowa — ale, piesek ten jest ostrowłosym foxterrierem, z rasy wytworzonej sztucznie, może 30—40 lat temu. Skąd miałby się wziąść taki foxterrier w Rosjî w XVI stuleciu?! Albo, kiedy brak jest wody słodkiej na statkach, kiedy zabijają się ludzie o każdą kroplę bezcennego płynu: nagle jeden z pijących łapczywie, polewa sobie kark... właśnie słodką wodą — mając przecież do polewania sobie karku całe morze wokół wody słonej! Schlettow jest trochę ciężki, trochę zbyt wagnerowski w typie, na smukłego, legendarnego kozaka nadwołżańskiego, gra niemniej porywająco, w skupieniu tragicznem doprawdy (chwilami) niedościgniony. Wybija się na pierwszy plan Georgij Sierow (Filka) i ten mały bezimieniec, przybłęda-chłopaczek, który umiera piękniej, niźli Norma Talmadge w Damie Kameljowej. Co to za fenomenalne chłopię!? Boris de Fas, znany z **Burzy**, z **Księżnej Maszy**, jak zawsze zimny, twardy, o masce pełnej okrucieństwa. Klein Rogge coraz bardziej imituje gesty Wiliama Powella — Hall Dawis trochę nijaka, jak przystało na księżniczkę perskich haremów. Całuje miękko, kocha niewolniczo i łagodnie, umiera bezradnie, jednak przy śmierci małego Kolki, zdobywa się na akcenty silnie dramatyczne. Są błyski w tym filmie przeszywające wprost napięciem artystycznem, wizje wioseł naprzykład, w przekroju, uderzające w taflę wody — zbliżenia nagłe przedmiotów, czy twarzy — przypomnijmy sobie nagłe, powtarzające się, zbliżenia pantofelka, który spadł z nogi zabitej księżniczki i poniewiera się na pokładzie, wśród spazmatycznie roztańczonych, na rozkaz wodza, nóg kozackich.

Jako atrakcja do tego filmu, która atrakcji nie potrzebuje, dano nam organy Wurlitzowskie. Nie uważam aby organy były instrumentem bardzo kinowem. Organy to instrument najmniej ludzki, najmniej wyrażający ludzkie uczucia i namiętności. Bo nawet nie są one wykładnikiem uczuć religijnych, raczej obrzędowe, liturgiczne, niźli modlitewne. Potężne są w osiąganiu celów, druzgocące człowieka za jego właśnie miłość i za jego namiętności. W kinie nic nie zastąpi skrzypiec, czy fletu, czy nawet pustego, rozdzierającego saksofonu. Mimo to przyznać trzeba, że Wurlitzowskie organy są bardzo zmyślnie skonstruowane i że mogą ilustrować bajecznie niektóre obrazy.

Awantura Arabska. Film ten nazwać można wzorem ekranowej komedji. Ruch roznosi tu ekran, nawał zdarzeń następuje tak szybko po sobie, że nie mamy czasu ochłonąć po jednej poincie, a już następuje druga. No i jak zagrane to wszystko! Ten Bulba! Louis Wolheim! płaska morda goryla i zestawiony z nim poetyczny, młodzieńczy, zawadjacki (trochę a la Charles Farrell) Wiliam Boyd, znany z **Burłaka z nad Wołgi**. Olśnił nas nawet w nieznacznej rólce Jan Keith, nawet Mary Astor nie irytowała nas swoim noskiem jak pralinka, oczami jak pralinki, ustami jak pralinki. Cała jest jak tania pralinka. Szemat konstrukcji przedstawia się następująco: co pewien odstęp czasu następuje powikłanie sytuacji tak dramatyczne, o napięciu tak silnem, że zapiera dech widzowi i — błyskawicznie — jednak wciąż w sposób logiczny, przychodzi niespodziewane, groteskowe, niebywałe rozwiązanie. Spazmatycznym śmiechem wybucha sala. Reżyser Millestone wiedział, że niema żywiołowego śmiechu jak ten, który następuje po wybitnem naprężeniu nerwów, po extraordynaryjnej emocji dramatycznej. Dlatego nie słyszało się jeszcze tak szaleńczego śmiechu w kinie, jak podczas wyświetlania **Awantury Arabskiej.**

Miss Cavell. O świcie. Zdawałoby się, że na fundamencie tak zwartej, krótkiej, choć tragicznej akcji, że wobec niedawności zdarzeń historycznych, które film Wilcoxa obejmuje, że wobec faktu, iż wiele żyjących, ową opiewaną miss Cavell znało i że w dodatku została już ona poprostu przeniesioną we Francji, Belgji i Anglji w dziedzinę świętości narodowych, że nie da się skonstruować nic istotnie zajmującego z punktu widzenia i tejże akcji i artyzmu. Tymczasem film jest piękny bezsprzecznie, akcja przeprowadzona z umiejętnem stopniowaniem, z powagą jakąś epicką, amfiteatralnie rozłożona dookoła jedynej właściwie postaci, dookoła postaci miss Cavell. Reżyser zjechał chyba pół kuli ziemskiej, aby odnaleźć typ równie odpowiadający typowi miss Cavell, co Sybilla Thorndike. Wielka tragiczka angielska jest właściwie żywem odbiciem rysów i postaci bohaterskiej angielskiej pielęgniarki, rozstrzelanej dnia 12 X 1915 r. przez Niemców. Miała ona do przezwyciężenia niesłychane trudności lokalne i psychologiczne. Lokalne, bo jak rzekłam wyżej, miss Cavell znała osobiście pół Belgji, no i miss Cavell jest już legendą, ustrojoną w nimb bohaterstwa, a więc nimb cokolwiek szablonowy. Nie można zatem obniżać jej koturnowej postaci, a ze względów artystycznych, nie można trzymać się popularnego kanonu patetycznej męczennicy. Sybilla Thorndike wybrnęła z niesłychanym kunsztem z trudności sytuacyjnej. Dała kreację nawskroś ludzką, wstrząsającą w swojej prostocie. Nawet ta najtrudniejsza chwila kaźni, chwila w której tak łatwo uderzyć w pozę, wyrzucać oczy ofiarnie i, dumnie wyrzucać głową, że niby **„nie ulęknę się karabinów"...** stała się tryumfem Sybilli Thorndike.

Tylko nieznaczne zaciskanie palców, pewna sztuczność w podnoszeniu głowy, którą pochyla zwyczajny, tak bardzo ludzki i zrozumiały lęk, a którą wznosi godność narodowa i poczucie, że dopełnia się ofiara konieczna i piękna. Tylko uśmiech, jakże kobiecy! gdy żegna na progu celi pruskiego żołnierza, jej współczującego. Tylko zaniepokojenie na twarzy, gdy widzi na miejscu kaźni zatarg między komendantem plutonu exekucyjnego, a jednym z żołnierzy, odmawiających strzelania do bezbronnej kobiety. Czuje się wyraźnie, jak błagają jej oczy, aby się nie narażał prosty żołnierzyk w imię haseł, iż się bezbronnych nie morduje — bo przecież ona, miss Cavell, nie jest bezbronną istotą, bo przecież ma moc i siłę w sobie, znacznie większą i wartościowszą, niż jej katy. Chwilami załamuje się, fizycznie, ale wnet opanowuje mdlejące siły i jest sobą: prostą, trochę sztywną, trochę kwakierską, a jednak wzruszającą do najwyższych wyżyn postacią, pełną zaparcia, idealizmu i uczuć humanitarnych. Miałam sposobność przed wojną w r. 1914, korespondować z miss Cavell. Wtedy już uderzała w jej listach ta jakaś nuta niewysłowienie czysta i uduchowiona, ta jakaś przesubtelna miłość bliźniego, ta gotowość do ofiar bliżej jeszcze nie nazwanych — wówczas. Tylko, że wówczas nie rozumiała jeszcze ona, mająca tak wielką, potężną i wolną ojczyznę, czem jest... **Wróg Ojczyzny.** Oburzała się nieco na mnie, za moją tęsknotę za „wojną ludów", głosiła hasła pacyfizmu i miłości braterskiej. No tak, pacyfizm przyszedł i do Polski, ale dopiero z chwilą, kiedy odzyskała wolność. A śmierć za Ojczyznę przyszła dla miss Cavell. Bardzo piękny, wzruszający film. Sybilla Thorndike, która na scenach angielskich odtwarzała tak genjalnie postać Joanny d'Arc (Shawa) wybiła się znowuż tutaj na pierwszy plan tragiczek ekranu. Pan Czyżewski, właściciel biura i kina Quo Vadis, położył ogromne zasługi, sprowadziwszy mimo sprzeciwu Niemieckiej dyplomacji i polskiej ponoś Branży filmowej, ten prześliczny, wysoce artystyczny film do nas.

Złota Lilja. Jeżeliby można filmy ustawiać w gablotkach, jak figurynki z porcelany saskiej, jak Wedgewoody i Rosenthale, to ustawiłabym sobie tę **Złotą Lilję.** Tak doprawdy prześliczną jest para artystów grających role główne! Billie Dove i Clive Brook. Czy można sobie wyobrazić cudowniejszą parę amantów, już ze względu na zewnętrzne walory. Greuzowska, subtelna, nieprawdopodobnie prześliczna Billie Dove, o ruchach i jak z poematu, jak z pieśni, o dziewczęcych ustach i oczach jak gwiazdy, ufnych i fascynujących i to wszystko przeciwstawione sceptyzmowi powściągliwego w manierze swojej Clive Brooka. Ironicznie patrzy na kobiety Clive Brook, tak mniej więcej jak Ronald Colman, ale ostatecznie wszystka ironja rozbija się o to cudo, o Billie Dove. Nic mu się nie dziwimy. Nurmi w biegu, w chwili dobiegania do mety zamarłby z zachwytu i stanął na widok Billie Dove. Historja filmu zresztą nie nowa, ale miłość, choć ma lat miljon z okładem, będzie zawsze rzeczą nową i porywającą i zajmującą. Zwłaszcza kiedy kochankowie przekonają nas, że piękno uczucia wypromieniowuje blaski i na nich. Miłość np. Silvana Richa z Dianą Blumenfeldówną w **Lasach polskich** niczego nam nie dowiedzie, choćby przetrwała wszystkie kataklizmy dziejowe i utrzymała się w eterach nadziemskich. To trudno. Miłość to luxus i miłość nie może być podana na obtłuczonem, fajansowem talerzu.

M. J. Wielopolska.

* * *

Bardzo skromnej jeszcze u nas literaturze, poświęconej sprawom kinematografji, przybywa — tym razem na terenie Łodzi — nowe czasopismo fachowe „Ilustrowane Studio".

Dziedzina kinematografji jest przebogatem źródłem nowych pięknych tematów, interesujących bezwzględnie wszystkich, dla których najmłodsza i najpowabniejsza z Muz nie jest obojętna.

Niezwykle bujny rozkwit tej par excelence nowoczesnej sztuki, rozkwit, który w konsekwencji do rydwanu kinematografji wprzągł najznakomitsze talenty pisarskie, artystyczne, reżyserskie — w zgodnym rytmie pracy swej, silące się na stworzenie możliwie doskonałych dzieł, mających olśniewać ludy wszystkich części świata i ras, — stawia nas przed koniecznością poznania wszystkich elementów, mających związek z kinematografją.

Pracując od szeregu lat w branży kinematograficznej i znając wszystkie „światła i cienie" tej branży — mogę stwierdzić, iż dalecy jeszcze jesteśmy od zrozumienia i oceny doniosłości kinematografji dla gospodarczych i czysto moralnych wartości naszego społeczeństwa.

I tu właśnie, jest dla prasy fachowej piękne pole do pracy.

Jako wiceprezes Polskiego Zrzeszenia Teatrów Świetlnych woj. Łódzkiego, z pełnem zadowoleniem witam powstanie w polskim Manchesterze czasopisma, oddanego zagadnieniom kinematografji.

Mam nadzieję, że pismo zgrupuje wokół siebie siły znające tło pracy filmowo-kinematograficznej i spełniać będzie rolę jednego z niewielu zwierciadeł, w którem czytelnik znajdzie rzetelny obraz całokształtu spraw świata filmowego.

Józef Moszycki.

Wywiad z dyr. Denny Kadenem.

W poszukiwaniu za jakąś ciekawą wiadomością dla czytelników „Ilustrowanego Studia" zabrnąłem do atelier „Danny Kaden" znanego przemysłowca filmowego, byłego reżysera i świetnego artysty niemieckich wytwórni. Reżyser i przemysłowiec — tytuły te brzmią zabójczo poważnie: spodziewałem się więc spotkać jakiegoś pana, cedzącego zwolna i z należnem namaszczeniem słowa, a tymczasem zastałem pełnego werwy, żywego i wesołego artystę, z którym się pysznie i z przyjemnością gawędzi.

— Interwiew? ależ proszę, przed dziennikarzem w mysią jamę się nie schowasz, więc w myśli tej maksymy nie szukam schronienia, kapituluję, a nawet chętnie odpowiem panu na pytania. Proszę więc zacząć śledztwo, tj. chciałem powiedzieć wywiad.

A więc przystępuje do egzekucji, dręczenia najrozmaitszemi pytaniami rozmówcy.

— Jakież jest zdanie pana o naszych aktorach filmowych?

P. Kaden ożywia się.

— Problem rzeczywiście ciekawy, twierdzę stanowczo wbrew wszelkim sądom i opinjom, że mamy materjał aktorski pierwszorzędny, ale źle ukształcony i niewyzyskany — w tem właśnie leży sedno sprawy. Proszę tylko zauważyć, kto z młodego pokolenia filmowców zdoła się dostać zagranicę — robi karjere, tyleż na to przykładów: Pola Negri, Mia Mara, Galonne, Igo Sym, reż. Buchowiecki, arch. Wróblewski i in. Błąd leży w tem, że nie umiemy tych ludzi uznać i odpowiednio użyć. Należy wciąż szukać nowych talentów i zerwać z przesądem, że przez dobę urobimy dobrego aktora i że jego pierwszy film jest istotnym probierzem zdolności. Artysta po kilku dopiero filmach nabiera odpowiedniej rutyny, a jeżeli potrafi zdobyć sobie popularność u części chociażby publiczności — to karjera zależna jest tylko już od niego.



Rozkoszna pełna temperamentu i urody Andre Lafayette w potężnym dramacie „Prokurator oskarża". Wł. Wirfilm, Warszawa.

— Kogóż pan dyrektor najbardziej wyróżnia z naszych gwiazd i gwiazdorów?

— Na firmamencie naszego ekranu najjaśniejszym blaskiem płoną: Smosarska, Marr i Sawan, to są czołowe nazwiska naszej kinematografji.

— A teraz pytanie dotyczące naszego narybku aktorskiego, czy szkoły filmowe dobrze spełniają swe zadanie?

— Ach! Panie — to bolączka, której lepiej nie dotykać, jestem zasadniczym wrogiem szkół tak prowadzonych, jak u nas, ale..., niestety jest to zło, które musimy tolerować.

— Zmęczyłem trochę pana?

— Trochę — powtarza melancholijnie dyrektor Kaden,

— Więc dla odpoczynku pomówimy sobie teraz o kwestjach mniej poważnych, ale zato bardzo miłych czy... artyści filmowi koniecznie muszą być piękni?

P. Kaden uśmiecha się wesoło.

— Naturalnie, chodzi panu o płeć piękną i jeśli mam decydować według własnego gustu: to lubię na ekranie kobiety wysokie, dobrze zbudowane, blondynki.

— Ale przecież pańska żona jest śliczniutką szatynką, średniego wzrostu, przerywam zdumiony.

Dyrektor uśmiecha się zagadkowo.

— To dowodzi, że jest tą wyjątkową szatynką, która przekonała mnie co do siebie, ale nie do innych — odpowiada z prostotą.

Nawiązując do poprzedniego pytania, kontynuuje mój rozmówca, uważam, że aktor lub aktorka niekoniecznie muszą być piękni. Po za wszystkimi walorami filmowymi, po za talentem nawet, muszą mieć to „coś", które decyduje o ich powodzeniu na ekranie.

— A cóż właściwie jest tym tajemniczym talizmanem?

— Gdybym to mógł wiedzieć! — wzdycha szczerze p. Kaden, to „coś" jest nieuchwytne, a jednak obecne i realne, jest najpoważniejszym czynnikiem w tej zawiłej magji XX wieku, jaką jest kinematografia.

— Co obecnie znajduje się na pańskim warsztacie pracy? — rzucam, niby bombę nowe pytanie?

— Obecnie w mojem atelier realizuje Machwic „Błękitne noce", film, którego fabuła odbiega daleko od banalności dotychczasowych scenarjuszy. Obsadę stanowią m. in.: Sawan, Bodo, Konopka, Orsini: dramat rozgrywa się w środowisku artystycznym i ujrzymy na srebrnym ekranie niezwykle ciekawe życie bohemji.

— Kto według pana może stać się aktorem filmowym — rzucam nowy dylemat ofierze dziennikarskiej ciekawości?

— Kto? ależ wszyscy! — słyszy pan wszyscy! którzy... tu rozlega się dzwonek telefonu — wzywają niestety mego delikwenta i musimy kończyć zajmującą rozmowę.

— A co będzie z ostatniem pytaniem panie dyrektorze? chytrze wtrącam to zdanie, żegnając się z sympatycznym kierownikiem „Denny Kaden Studio".

— Cóż zrobić: napiszę panu na ten temat artykuł, a tam obszernie wyłuszczę me poglądy na tę sprawę.

— Dziękuję serdecznie; za to ja solennie obiecuję nie męczyć pana wywiadami aż... do następnego interwiewu. Uścisk dłoni i rozstajemy się z p. Kadenem, a ja śpiesznie biegnę do redakcji, by na biurku — dziennikarskiej kuchni, sporządzić wywiad i podać go jeszcze na gorąco moim czytelnikom. *O.*

Wspomnienia.

Wspomnienia.. W pierwszej chwili miałem zamiar napisać pamiętnik — ale wszystkie pamiętniki mają coś wspólnego z aforyzmami, w których — rozum i forma zabijają prawdę — są nieszczere — a więc wspomnienia... pragnę sięgnąć myślą w lata młodzieńcze i przypomnieć tych którzy odeszli — i tych którzy są.. zapomniani.

Patrząc dzisiaj na scenę narodową, mimowoli wracam myślą do tych czasów kiedy wielką armję tworzyli — Bolesław Leszczyński, Wincenty Rapacki, Adolf Ostrowski, Edward Wolski, Władysław Wojdałowicz, Władysław Szymanowski, Marjan Prażmowski, Kazimierz Kamiński, Józef Kotarbiński, Teodor Roland, Aleksandra Ludowa, Jadwiga Czaki, Aleksandra Rakiewiczowa, Marja Federowiczowa, Natalja Siennicka, Marcela Borykowska, Walerja Niewiarowska, Zuzanna Ostrowska, Magdalena Micińska i cały szereg, szereg nazwisk związanych stale z teatrem Rozmaitości. — Ci którzy odeszli — oraz wielka żyjąca gwiazda Helena Marcello-Palińska — znakomite Irena i Tekla Trapszo, Honorata Leszczyńska, Wanda Barszczewska i wyrastająca wśród tych wielkich gwiazd Felicja Pichor-Śliwicka. Nie mówię o Mieczysławie Frenklu — który do tej pory jest tym fenomenem, którego wielki talent nie dał się ugiąć — i służy do dzisiaj ku chwale imienia Polskiej sztuki. O tych co odeszli pomówię później, nie mogę oprzeć się aby nie przypomnieć tych co pozostali — a są w zapomnieniu — i tylko czasami jakiś afisz kinowy przypomina nam ich nazwiska — ale to najmłodsze pokolenie, niewie kim są, ile teatr polski ma im do zawdzięczenia. Zacznę od pani Heleny Marcello-Palińskiej — tę znakomitą heroinę odsunięto od pracy — dlaczego? Myślę, że nie znajdzie się nikt, coby mógł na to odpowiedzieć — ot — odsunięto bez powodów nie licząc się z wielkim talentem — z pracą nad szeregiem wielkich ról, z możnością pracy (dowodem ostatnia rola w Przedwiośniu). Marcello nie gra tam roli dominującej, a jednak każda jej scena rysuje się mocno. Oko żyje — nie gra — czuje — ale milczy. Milczy jak ci których, winą jest odsunięcie tej wielkiej artystki od sceny. O Honoracie Leszczyńskiej wiemy, że udziela lekcji — pięknie — ale gdyby grała, ileż by to się mogło nauczyć od tej znakomitej artystki młodych sił, które żyją bez wzorów? ale pani Leszczyńska uczy adeptów — a szkoda. Honorata Leszczyńska — to wielkie nazwisko w historji teatru, będzie i jest zapisane złotemi zgłoskami ale dlaczego niema, do nas przemówić, kiedy może, kiedy całym szeregiem ról mogłaby nas zachwycać jak zawsze — i... uczyć...

Wanda Barszczewska usunęła się sama kochając teatr — kto wie o tem poświęceniu? Nikt! a przecież był to talent w wielkim stylu, inteligencja nieprzeciętna. — Nad odejściem Jej przeszło się do porządku dziennego — a czy wolno było do tego dopuścić? Tekla Trapszo — talent kryształowy — wielki kunszt aktorski — niezastąpiona w całym szeregu ról — zapomniana — dlaczego? Pani Pichor-Śliwicka, którą pamiętam w tym cudownym komplecie (w początkach jej karjery w teatrze Rozmaitości) Ludowa — Ładnowski — Śliwicki (występujący gościnnie) i Ona — w „Mężu i żonie", Fredry.

Jak trudno było grać z takimi mistrzami, a jednak talent zwyciężył. Byłem świadkiem rozrostu tego talentu — ileż przepięknych ról — tak różnych — tak ciekawych — zawsze nowa — zawsze zajmująca — milczy — milczy również Józef Śliwicki, od lat nie widzi się go na scenie. Znakomity ten artysta o wysokiej klasie swego talentu oddaje się sprawom... zawodowym. Nie podobna wyliczyć całego szeregu wielkich ról — od bohaterów począwszy (Hamlet, Dzwon zatopiony) do najlżejszych komedji, że trudno nie wspomnieć o Albinie Fredrowskim, w którym jest... niezastąpiony — Dlaczego nieobecny? Niema odpowiedzi. Niema odpowiedzi na wiele krzywd, które dzieją się tym znakomitym artystom, teatrowi i publiczności.



Ryszard Talmadge
znany aktor filmów sensacyjnych.
Wł. „Uniwersal".

Przykład jaskrawy — Irena Solska — wielka artystka współczesna — cudowna mistrzyni słowa, ten arcywzór djalogu — niema miejsca dla swego talentu w żadnym teatrze. Co dzieje sie z Ordon-Sosnowską, którą par-force ściągnięto z Krakowa, którą to trudna Warszawa przyjęła z entuzjazmem. Co wreszcie dzieje się z Marją Mirską. Brak teatrów? Brak środków? Nie — brak ukochania teatru u ludzi, którzy nim rządzą.

Przecież kilka lat temu mistrza Rapackiego przytulił dyr. Szyfman — a jakiż to był wówczas policzek dla tych stojących przy sterze teatru Narodowego. Dyr. Szyfman ma swój znakomity zespół i nie stać go (teatr prywatny) na przytulenie gwiazd, których miejsce bezsprzecznie jest w teatrze Narodowym. Wierzę głęboko, że dyr. Chaberski pragnąłby mieć władzę, któraby mu pozwoliła zgrupować dokoła siebie tych zapomnianych wielkich potentatów sztuki i byłby dumnym gdyby obok Frenkla, Solskiego, Węgrzyna, Chmielińskiego, Brydzińskiego mógł nam umieścić na afiszu nazwiska Marcello, Leszczyńskiej, Trapszo, Pichor i Śliwickiego. Jakie by to było święto dla tych, którzy im zawdzięczają tyle pięknych i wzniosłych wrażeń i przeżyć.

Niestety — brak nam Morozowych.

Odbiegłem od wspomnień, pisząc o chwili obecnej — dlatego jedynie — że one kazały mi przypomnieć o niesprawiedliwości i braku poszanowania dla wielkich talentów. Wracajmy do „wspomnień". Rok 1895 — stare kochane „Rozmaitości" grają „Safanduły", Wiktoryna Sardou.

Jestem poraz pierwszy w teatrze. (c. d. n.)

Konstanty Tatarkiewicz.

W jednym z najbliższych numerów, ukaże się ciekawy artykuł dyr. Denny Kadena pod niezwykle frapującym tytułem:

Kto może być gwiazdą filmową.

Niedrukowany nigdzie wiersz
Heleny Modrzejewskiej.

Do * * *

(poświęcony Chełmońskiemu)

...Gdy raz zmęczona prawdą i udaniem,
W gronie przyjaciół pragnęłam odświeżyć
Umysł zmęczony — podzielić się zdaniem
I kilka miłych, czarownych chwil przeżyć,
Nie wiedząc, znajdziesz-li, czego szukałam,
Przyszłam znudzona, pozornie wosoła...—
Lecz oto nagle — dwoje ócz spotkałam,
Co wybiegały wdal z jasnego czoła.

Kto był ten człowiek, co tyle odmienny
Od wszystkich innych, stał tam zapatrzony?
Jakaż moc wlała w oczy ten blask cenny,
I skąd na czole smutek nietajony?
Kto był ten blady o iskrzącym oku?
„To malarz Józef" — doszło mego ucha,
Serce mi drgnęło w radosnym podskoku,
Bo czułam, że w nim bratniego mam ducha.
Teraz odgadłam, że blask jego oczu
To Sztuki dzieło, promień nieskalany!
O! z ócz tych jasno odgadłam przezroczu,
Skąd smutek, bladość: kochał — niekochany.

Jakaż to dziewka, jaka czarownica
Spędziła radość, co, jak ptak spłoszony,
Precz uleciała z pogodnego lica...
Jak ptak bezbronny, przez sępa goniony.

Lecz on nie upadł pod bólu ciężarem,
Sztuce poświęcił swego serca rany,
W sztuce nanowo ożył, pod jej czarem,
Rozpaczą wiedzion, żądzą sławy gnany.

Bratni mój duchu, robakiem, się mienisz?
A dusza, światło, z twych utworów tryska!
Czemuż tę iskrę ty tak mało cenisz,
Co z Boga idzie, co tak nieba bliska!
I mnież to słońcem, mnie nazywasz biedną?
Którą los tylko i ludzie uczyli.
Blask mój nie z góry. O nie mnie w gwiazd kole
Topić wzrok smętny, ja, jak grabarz kości,
Z serca dobywać muszę jęki, bóle
I rzucać światu. Dla mnie są ciemności.

Kiedy ty w świetle kąpiesz wzrok i dusze,
Ja w otchłań myśli i serc niepokoje,
Ja w głąb skalanych natur patrzeć muszę
I wszystko w siebie brać, jak gdyby moje:
Bo tylko czasem poprzez moje wargi
Poezja mówi językiem miłości
Lub wiosny szeptem...
A wtedy: kobietę w sobie znajduję
...Tonę w ogromie piękności!

Szkoła filmowa.

(Nowela).

„Udzielam lekcji gry filmowej, informacje od czwartej do szóstej. Jerzy Korsten, reżyser filmowy wytwórni krajowych i zagranicznych jak... tu następował cały szereg nazw brzmiących cokolwiek egzotycznie, trudnych do wymówienia, ale zato mocno obiecujących.

Mój Boże! westchnęła pani Loda, ile też wytwórni na świecie i ileż wiazd... Ogłoszenie o lekcjach gry filmowej odczytuje już poraz setny, a za każdym razem coraz milsze myśli do głowy jej przychodzą. Pani Loda nudzi się na prowincji, gdzie nieszczęsny los ją rzucił, wyklina po tysiąc razy na dzień swą jałową egzystencję, a tu naraz otwiera się przed nią ciekawa perspektywa. Postanowienie powzięte!! Loda podnosi się z kanapy, zaczyna się gorączkowo ubierać i po chwili z drżeniem przestępuje progi „sanctuarium" wiedzy kinematograficznej. Przyjmuje ją uprzejmie sekretarz i prosi aby chwilkę zaczekała — pan reżyser egzaminuje kandydatki na uczenice.

Nowa adeptka rozgląda się i obserwuje towarzystwo tu zebrane: wszyscy jak i ona oczekują z niecierpliwością na audjencję. Przyszłej artystce robi się trochę niewyraźnie, co za zbieranina typów! przysuwa się do grona kilku, dość solidnie wyglądającyych osób i z ciekawością przysłuchuje się djalogom zabarwionym swoistymi zwrotami i mocnymi wyrażeniami. Ale cóż robić, kto chce iść do celu, nie może się na nic oglądać, zresztą w wytwórniach filmowych spotyka się ludzi różnych zawodów — może tu są przyszłe gwiazdy, o których za lat kilka będą się rozpisywały gazety, może o niej samej, któż bowiem przyszłość odgadnie? Przychodzi kolej na Lodę, przestępuje próg tajemniczego pokoju i przedstawia jej się miły i sympatyczny mężczyzna o artystycznym wyglądzie. Pani Loda jest nim oczarowana. Po krótkiej rozmowie reżyser przychodzi do egzaminu, zresztą bardzo łatwego: trzeba przejść się kilka razy po pokoju — spojrzeć się — uśmiechnąć — jakieś uczucie wyrazić mimiką i... egzamin skończony. Droga do sławy stoi teraz otworem, jest godna stać się uczenicą wielkiego mistrza! Radość jest zmącona jedną tylko chmurką, oto prawie wszyscy kandydaci dostąpili tego zaszczytu, z wyjątkiem chromającego na prawą nogę, lecz nie mogącego zato poruszać lewą ręką i jednej panienki, która trochę zezowała, miała tik nerwowy w twarzy, a pozatem była głucha, nie mogła więc korzystać z wskazówek kierownika.

Nazajutrz rozpoczęły się lekcje. Słuchacze chłonęli każde słowo — chodzili, siadali, wstawali, trzymali się linji planów, tempa, uśmiechali się z uczuciem i bez uczucia, robili zamyślenie, nienawiść, bol, złość, radość, bezmyślność, to ostatnie szczególniej, udawało się im znakomicie — słowem, praca wrzała w pełni. Po jakimś czasie, przystąpiono do odgrywania scenek, przyczem scenarjusze

wymyślali słuchacze, i tutaj fantazja adeptów i ich inteligencja uwydatniała się znakomicie.

Pani Loda była w rozpaczy, takiej pomysłowości nie posiadała bowiem i nie zawsze mogła się wczuć w swoją rolę. Jak uwierzyć naprzykład, że do jej sypialni wkradł się wąż, który tam ukąsił jakiegoś nieznanego pana i oto ten nieszczęśliwiec wijąc się w bólach, oświadcza jej swą miłość. Wzrusza ją swym uczuciem, ona odpłaca mu wzajemnością, zabija węża, ratuje owego nieszczęśliwca, gdy wtem... nadbiega mąż. Wyzywa niedoszłego kochanka na pojedynek, ona rzuca się pomiędzy nich, lecz wdaje się w to wyższa siła,... uderza piorun, wznieca pożar. Ją ratuje kochanek, męża... kochanka, która niewiadomo skąd i po..o się nagle zjawiła i jak się okazało z toku akcji, jest żoną owego nieznanego pana. Następują więc dwa rozwody, dwa śluby, ale potem w konkluzji... tragedja. Dzieci dwojga par nie chcą rozłąki rodziców, ma więc nastąpić ogólne samobójstwo, lecz przed samym faktem — generalne przebaczenie i dzieci jednej pary łączą się węzłem małżeńskim z potomkami drugiej.

Loda nie mogła się ani rusz połapać: skąd się wziął wąż, kto i w jakim celu go wpuścił, kto jest kochankiem, kto mężem — wogóle kręciło się jej od kołowrotu wypadków w głowie, a tu jeszcze trzeba zagrać z odczuciem. Główny kłopot, jak ratować człowieka ukąszonego przez węża, usunął reżyser, który objaśnił szczegółowo, co wtedy należy uczynić. Kandydatka na „gwiazdę" była zachwycona: ten człowiek wie wszystko, nawet wiedza lekarska nie jest mu obca.

Jednego dnia obznajmiono adeptom wielką nowinę: nadszedł aparat! Na statywie umieszczono skrzynkę z korbą: wszyscy oglądali ją z zachwytem i dotykali z szacunkiem. Zagrano natychmiast jakąś ciekawą scenkę, mistrz zaś — stanął na stanowisku i kręcąc korbą, udzielał jednocześnie słuchaczom fachowych rad.

Zdjęcia się jakoś nie udawały i nikt ze słuchaczy nie mógł ich obejrzeć. To zepsuły się przy wywoływaniu, to z innych powodów. Emocja mimo to była nadzwyczajna! — jednak grać przed objektywem filmowem, to gratka, która się tylko wybrańcom trafia. To też pobudzona fantazja uczni tworzyła coraz efektowniejsze i ciekawsze scenarjusze i biedna pani Loda pozostała cokolwiek w tyle; trudniej jej było teraz orjentować się w fabule i przeżywać swe role, pracowała więc też ze zdwojoną pilnością i w domu przed lustrem godzinami studjowała ruchy i wyraz twarzy.

Reżyser napomykał, że stworzy wytwórnię, że adeptów swych zaangażuje na artystów — słowem wszystko było na najlepszej drodze, gdy nagle... reżyser znikł. Czekano na jego przbycie, początkowo z nadzieją, później z rozpaczą — napróżno! nie wracał! Rozwiał się jak sen o szczęściu, jak zwiewne marzenie! — ulotnił się dyskretnie, chcąc pewnie uczniom swoim oszczędzić bólu rozstania.

Loda domyślała się powodu owego nagłego wyjazdu: pewnie tam na szerokim świecie miał jakieś przygody miłosne, które zmusiły go do porzucenia stanowiska i schronienia się do prowincjonalnej mieściny; obecnie przyczyny te znikły, może więc wrócić. Powoli życie przyszłych gwiazd wracało do normy: słuchacze pogodzili się z nieobecnością mistrza i postanowili sami pracować, a nawet korzystać z aparatu, który, roztargniony reżyser zapomniał ze sobą zabrać. Stała się jednak rzecz straszna! gdy z nabożeństwem zbliżyli się do aparatu, chąc się zapoznać z jego mechanizmem, przekonali się z niewypowiedzianem oburzeniem, że padli ofiarą brzydkiego figla. Tajemniczy przyrząd okazał się — zwykłą, pustą skrzynką, której nadano pozór aparatu i wstawiono korbę. Konsternacja była ogólna. Wybuchy wściekłości można było niestety wyładować tylko w słowach; okrutnej zemsty nie było na kim wywrzeć. Złość i gniew znalazły swe ujście w potokach obelg musiano się jednak pogodzić z rzeczywistością, a pani Loda wróciła znów do szarej przędzy dni powszednich. Nie wspominała przedtem nikomu o swoich planach, chciała bowiem olśnić swych znajomych niespodzianką; nie była więc narażoną na docinki i przykre uwagi najlepszych przyjaciół, owszem sama kpiła, gdy rozmowa schodziła na tory niedawnego skandalu.



„Barka miłości".
Niezwykle ciekawy film z uroczą hr. Riną de Liguoro.
Wł. Schoenborn-Film, Warszawa.

Nadszedł karnawał! Główkę pani Lody zaprzątnęły nowe myśli: zakochała się szalenie, poważnie — jednak piękny brunet, który wzniecił miłość w serduszku uroczej Lody, pozostał niewzruszony — wtedy urocza bohaterka nasza przypomniała sobie, że jest przecież niedoszłą artystką filmową. Powtórzyła więc w domu wszystkie ćwiczenia mimiczne i pewna zwycięstwa udała się na decydującą bitwę — na bal,

na którym, jak wiedziała on... będzie. Weszła do rzęsiście oświetlonej sali z miną pogardliwie znudzoną, choć oczy jej wyrażały radość życia, a ruchy beztroskę. Była to reminiscencja z jej ostatnich lekcji, gdy kreowała rolę czarującej uwodzicielki, która od niechcenia przyprawiła dwunastu mężczyzn o szał, piętnastu zaś o śmierć, a sama zastygła w żalu — nie znalazła bowiem prawdziwej miłości! Pani Loda odczuła, że jej gra zamienia się w rzeczywistość: stała się doprawdy niebezpieczną kusicielką, oglądano się za nią naokół, nawet zblazowany, piękny brunet zdradzał niejakie zainteresowanie. Wówczas Loda sięgnęła do skarbnicy wiedzy kinematograficznej i z zapałem powtórzyła niedawne wykłady. Twarz jej wyrażała kolejno: radość, obojętność, zamyślenie, podniecenie, pożądanie, a gdy przechodząc koło bruneta, zwolna, jak ją uczył reżyser, przy zbliżeniu, roztworzyła szeroko oczy i wpatrzyła się z wyrazem oczekiwania (usta nawpół otwarte, głowa naprzód podana) — ten spojrzał się z zachwytem i pospieszył się niebawem przedstawić. Po chwili w zgodnym rytmie okrążali salę: Loda przechodziła od „trzeciego planu do pierwszego", według wszelkich form i reguł robiła temperament i pożądanie — rozdymała nozdrza, zwężała i rozszerzała źrenice, przygryzała usta, a oczy pięknego bruneta, choć nie znał tajników filmowych, wyrażały coraz więcej uczucia — obiecywały partnerce miłość.

Skończył się bal, lecz nie zażyłość dwojga młodych, przeciwnie, wzrastała coraz więcej, aż zakończyła się (bo wszystko na świecie jakiś koniec mieć musi) — ślubem. I gdy nowożeniec wyznawał swej lubej jakie wrażenie uczyniła na nim jej tak cudownie wyrazista twarz, gdy unosił się nad wymową jej oczu, Loda uśmiechnęła się szelmowsko (w drugim planie), pocałowała bez reguł tym razem męża i pomyślała O Filmie! Jakżeż wielką jest twa potęga!

Alicja Romana Oppenheimówna.

Nadzwyczajne Walne Zebranie Zrzeszenia Teatrów Świetlnych woj. Łódzkiego.

Nadzwyczajne walne zebranie, Zrzeszenia Teatrów Świetlnych woj. Łódzkiego, zwołane zostało przez Zarząd celem omówienia i rozstrzygnięcia szeregu bardzo aktualnych i ważnych spraw.

Przebieg posiedzenia ujęty w ramy bogatego porządku dziennego, a zwłaszcza atmosfera obrad była dowodem żywego zainteresowania się członków ostatniemi posunięciami rządu w odniesieniu do kinematografji oraz była sprawdzianem nader poważnego pojmowania przez zarząd Zrzeszenia swego obowiązku, stania na straży interesów ogółu zrzeszonych.

Na specjalne podkreślenie zasługuje obecność delegatów Zrzeszenia województwa pomorskiego, poznańskiego, śląskiego i kieleckiego w osobach pp. Gorczycy, Smoczyńskiego, Olesiaka, Twardowskiego, Krzyżniewskiego, dr. Flaschena i Wrzoska.

Delegaci wspomnianych województw wyrazili zarządowi łódzkiego Zrzeszenia uznanie za pracę dla dobra wszystkich członków zrzeszeń, zaznaczając, iż odnoszą się z pełnem zaufaniem do poczynań Zrzeszenia łódzkiego.

* * *

Zebranie zagaił prezes Zrzeszenia senator R. Wodziński, witając gości i członków, poczem sprawozdanie z działalności zarządu złożył wiceprezes p. S. Cynamon, wykazując, iż miniony okres sprawozdawczy obfitował w liczne momenty, wymagające wyjątkowej czujności ze strony Zrzeszenia.

W toku dyskusji nad poszczególnemi punktami porządku obrad ujawniła się pełna jednomyślność członków Zrzeszenia, którzy powzięciem szeregu odpowiednich rezolucyj w zupełności aprobowali politykę zarządu.

Poniżej przytoczone skróty rezolucyj dają skromny szkic treści zebrania.

Sprawy podatkowe. Rezolucja w sprawie podatku widowiskowego, ujęta w 18 punktach stwierdza, że nowa skala podatkowa na tle klasyfikacji filmów nie przynosi kinoteatrom żadnej ulgi.

Druga uchwała stwierdza, że pobieranie podatku obrotowego w wys. 2½% podnosząc podatek widowiskowy uniemożliwia prowadzenie racjonalnej gospodarki w kinach.

O podatku dochodowym zebrani wypowiedzieli się, że niezbędne jest wydelegowanie przedstawiciela branży kinematograficznej do komisyj szacunkowych i odwoławczej.

W sprawie patentów zebrani domagają się podziału kin na 6 kategoryj. Poza tem postanowiono dążyć do uregulowania sprawy wynagrodzenia za inkaso podatku widowiskowego i domagać się do 2% przy 10% podatku widowiskowym i do 5% przy 10%—60% podatku widowiskowym.



Siedzą od lewej do prawej: skarbnik Stobiecki, dyrektor Pelikan, vice-prezes Cynamon, vice-prezes Maszycki, prezes Związku Poznańskiego Olesiak, inż. Kistelski Radomsko, B. Pelikan, vice-prezes Związku Poznańskiego Twardowski, Wl. Beme.

Cło. Zwrócić się do Ministerstwa Handlu i Przemysłu o zwolnienie od opłat celnych II i III kopji filmów.

Programy złożone. Racjonalna propaganda wśród najszerszych warstw jest możliwa przez wyświetlanie filmów naukowych łącznie z rozrywkowemi. Konieczne jest w związku z tem obniżenie stawek podatkowych proporcjonalnie do długości filmów naukowych.

„Kino dla wszystkich". Po zapoznaniu się ze sprawami wydawnictwa „Kino dla wszystkich" Nadzwyczajne walne zebranie uznaje:

1) że organ „Kino dla wszystkich" zgodnie z postanowieniami walnych zebrań delegatów miał być wyłącznie organem interesów właścicieli kin.
2) że Prezydjum Zarządu Związku Zrzeszeń nie miało prawa do sprzedaży pisma, gdyż zadecydować o tem mogło jedynie tylko Walne Zebranie Delegatów Zrzeszeń i że wobec tego Zrzeszenie ma prawo do wydawania własnego organu.

Budżet Związku Zrzeszeń. Nadzwyczajne Walne Zebranie uznaje przedstawiony budżet Związku Zrzeszeń za nierealny. Oparcie budżetu na wpływach z trzech wzgl. czterech Zrzeszeń wojewódzkich nie może dać realnych wyników.

Celem uzdrowienia stosunków winien budżet być oparty na uchwale Zjazdu Delegatów, natomiast suma osiągnięta ze sprzedaży wyd. „Kino dla wszystkich" zł. 12.000 winna być użyta całkowicie na cele organizacyjne.

Jednocześnie zebranie postanawia wezwać Związek Zrzeszeń do ściągnięcia przedewsystkiem zaległości, jakie posiadają poszczególne zrzeszenia.

Reorganizacja Związku Zrzeszeń. Nadzwyczajne Walne Zebranie uznaje, że dotychczasowy system pracy Związku Zrzeszeń nie może przynieść korzyści członkom, a odwrotnie — jest szkodliwy dla branży kinowej. Wobec powyższego postanawia dążyć do przeprowadzenia reorganizacji, udzielając Zarządowi Zrzeszenia w tej sprawie odpowiedniego upoważnienia.

Umowy z przemysłowcami. Umowy, jakich schemat został przesłany Zrzeszeniom, nie mogą zabezpieczać jedynie interesów przemysłowców. Zarząd upoważniony jest do opracowania własnego schematu umów.

Reklama świetlna. Przyjęto do zatwierdzającej wiadomości postanowienia Zarządu i umowę zawartą z p. Harrym Szpreiregenem, który objął wyłączność reklam świetlnych w woj. łódzkiem.

Zebranie zakończyło się przyjęciem jednomyślnem następującej rezolucji:

Uznając, iż zarząd naszego Zrzeszenia oraz p. dyr. Pelikan, czego mamy liczne dowody, obserwując ich wysiłki na terenie województwa i władz centralnych — zasłużyli się dobrze członkom i całej branży kinematograficznej, Nadzwyczajne Ogólne Zebranie członków Polskiego Zrzeszenia Teatrów Świetlnych woj. Łódzkiego wyraża zarządowi oraz p. dyr. Pelikanowi pełne uznanie za ich pracę dla dobra członków Zrzeszenia oraz całej branży kinematograficznej w Polsce.

Na wniosek prezydjum wysłano depesze hołdownicze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Mościckiego, Pana Marszałka Piłsudskiego oraz depesze dziękczynne do Pana Premjera Bartla, Pana



Zebrani uczestnicy Zjazdu na bankiecie w restauracji Tivoli.

Ministra Składkowskiego, Pana Wojewody Jaszczołta i Pana pułk. Łuskino.

Wieczorem odbył się w restauracji „Tivoli" bankiet oraz wspólna fotografja.

Zrzeszenie Teatrów Świetlnych woj. Łódzkiego otrzymało następujące pismo:

KANCELARJA CYWILNA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ. Warszawa, d. 20. XII. 1928 r.

Do
Pana Senatora Wodzińskiego
w Łodzi.

Kancelarja Cywilna z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przesyła na ręce Pana Senatora podziękowanie dla uczestników Zjazdu właścicieli kin za depeszę hołdowniczą z dnia 11 b. m.

Szef Kancelarji Cywilnej.

Podziękowanie za depeszę nadesłał również Pan Wojewoda Łódzki Jaszczołt.

Znana artystka filmowa hr. Rina de Liguoro uwięziona.

Hrabina de Liguoro uwięziona? Czyż to możliwe? Za co? Któż ośmielił się oprzeć urokowi artystki i wydać tak okrutny wyrok?

A jednak to prawda. Wykonawcy sprawiedliwości są widocznie opancerzeni przeciw wdziękom niewieścim, skoro zdołali się oprzeć czarowi nowożytnej „Messaliny".

Hrabina de Liguoro znana ze swej ekscentryczności jest zwolenniczką nadmiernie szybkiej jazdy samochodowej; niestety jednak przyzwyczajenie to stało się źródłem przykrego wypadku; przejechała bowiem we Włoszech, podczas jednej ze swych licznych wycieczek autem, przedstawiciela płci brzydkiej.

Sąd, składający się zapewne z ludzi o kamiennych sercach, skazał uroczą automobilistkę na sześć miesięcy więzienia.

W świecie filmowym wypadek ten jest żywo komentowany, a wyrok stanowi sensację nietylko

wśród „gwiazd i gwiazdorów", ale i wśród szerokich kół zwolenników kina, którzy znają artystkę z całego szeregu wybitnych filmów, a przedewszystkiem z głośnej „Messaliny".



„Barka Miłości".
Superfilm włoskiej produkcji w roli głównej prześliczna hr. Rina de Liquoro.

Hr. de Liguoro wniosła sprzeciw przeciwko wyrokowi i żywi nadzieję, że sąd apelacyjny uwolni ją od odpowiedzialności.

Piękną sportsmenkę ujrzymy wkrótce w filmie produkcji włoskiej p. t. „Barka Miłości", gra w nim ona rolę tytułową. Krytyka zagraniczna jednogłośnie unosi się nad zaletami tego obrazu i stawia go w rzędzie najpiękniejszych filmów. Wszyscy zaś mężczyźni którzy widzieli „barkę miłości" zachwycają się nieskazitelną urodą artystki nazywając ją „najpiękniejszą kobietą ekranu". Możemy więc niedługo w kinie bezpiecznie obserwować hr. Rinę de Liguoro, zachwycając się czarem jej poruszeń, bez obawy o całość swych kości.

TEATRALJA.

Teatr Letni.

„Kokoty z towarzystwa".

Komedja w 3-ch aktach Fr. Lonsdale'a, przekład J. B. Rychlińskiego, reż. dyr. E. Chaberskiego, dek. A. Aleksandrowicza.

Komedja ta, to gorący i żywiołowy protest, przeciw powojennej zgniliźnie i depprawacji, to apoteoza cnoty i nagiej prawdy. Autor rozprawia się z paniami z towarzystwa, które pod przykrywką blichtru, elegancji i dobrego tonu, nie zachowują się lepiej, jak sprzedajne dziewczęta, stawia nawet wyżej te ostatnie, bo mają za sobą wielki atut — prawdę. Komedja Lonsdale'a chce więc przestrzec pewne sfery, przed upadkiem moralności, chce grzech pokazać bez osłonek elegancji, a cnotę uczynić pierwszym warunkiem i fundamentem życia. Trzeba dużej odwagi, aby poruszyć ten temat i wyjść obronną ręką z zawikłań, które w sobie kryje. Młodzieńcze lata i szkoła mogły nam wszystkim kodeksy moralności tak obrzydzić, że pomimo woli wyrazy takie jak: cnota, prawość, obowiązek wzbudzają wstręt pewien, narzucają wyobrażenie czegoś pedantycznego, ciężkiego, a nadewszystko nudnego, ach jak nudnego! Obawy okazały się jednak płonne, autor nie prawił morałów, lecz bawił, szydził, ironizował i co najgłówniejsze — zaciekawiał. Przez trzy akty bowiem byliśmy świadkami pojedynku, między mężem i kochankiem, a szala zwycięstwa przechylała się na różne strony — posłuchajmy teraz treści.

Pani Rita Lones po dziesięcioletnim zgodnym pożyciu małżeńskim, zaczyna się nagle chwiać w swej wierności dla męża, a powodem tego, złe towarzystwo. Dostała się ona wkrąg zupełnie innych ludzi, nasiąkłych powojennymi poglądami i oto zaczyna smakować w otoczeniu, jak je nazywa Lonsdale „kokot z towarzystwa". Niedość na tem, ulega czułym słowom „fachowego" uwodziciela i maluczko stanie na jednym poziomie z gronem swoich wybranych. Mąż widząc, moralną nicość koła jej znajomych, pragnie radykalnie zerwać tę niemiłą dla niego zażyłość, przyprowadza na proszony obiad dziewczynę uliczną i otwarcie dowodzi, że uważa ją za równą, tym świetnym damom, a może lepszą, bo otwarcie uprawiającą swój proceder. Następuje skandal, który prowadzi do rozwodu i tak się kończy akt drugi, najmocniejszy w wyrazie. W trzecim dowiadujemy się, że żona jeszcze trochę kocha męża, a kochanek pracuje „zawodowo" tylko u mężatek, z kobietami zaś stanu wolnego, nie chce mieć nic do czynienia. Jest on jednak mimo wszystko dobrym chłopcem i czuje, że wyrządził krzywdę dwogu ludziom — godzi więc parę małżeńską i sam staje się ich przyjacielem. Jak więc widzimy wszystko poszło ładnie i gładko i z uśmiechem zadowolenia wychodzimy z teatru. Obsada dobra: Różycki w roli Ryszarda świetny, Lenczewski poprawny, p. Majdrowiczówna jak zwykle wdzięczna i ładna, czuła się w roli p. Rity trochę niepewnie. Z całkowitem uznaniem trzeba podnieść grę p. Broniszówny, która w małej rólce dała pełnię wyrazu charakterystycznego. Reszta zespołu dobra. Reżyserja p. Chaberskiego dała dobre tempo w scenach zbiorowych, wyczuwało się jego inteligencję i zapobiegliwe kierownictwo. Wnętrze bardzo ładne.

Teatr Nowy.

„Adwokat i róże".

Komedja w 3-ch aktach Jerzego Szaniawskiego, reż. Al. Zelwerowicza, dekoracje Wincentego Drabika.

Mamy do zanotowania nową, ciekawą komedję, chlubnie już znanego ze swej działalności scenicznej autora.

„Adwokat i róże", to nowy i świetny przyczynek do jego twórczości; sztuka ta przewyższa jego dotychczasowy dorobek, dał nam bowiem tym razem nie „papierowych kochanków", ale ludzi z krwi i kości.

Komedja ta, jako bardziej realna, jest nam bliższa — przemawia w niej bowiem, nie preparat, świetnie może zrobiony, ale mimo to bezduszny — lecz żywy, sercem odczuwający i krwią płacący, za miraż choćby szczęścia, człowiek.

Szaniawski analizuje swych bohaterów, wyczynia z nimi eksperymenty psychologiczne, tworzy splot tragicznych konfliktów, aby obserwować ich reakcję uczuciową, ale jednocześnie czai się w nim jakiś do tych figur sentyment, tem silniejszy, im gorliwiej skrywany.

Autor wypiera się tego uczucia, zasłania się ironją, niekiedy gryzącą, napróżno — sentyment wychodzi zewsząd i przepaja poezją całą sztukę. Bez tego

najważniejszego czynnika, komedja ta miałaby inną szatę, nazwalibyśmy ją może „niemoralną.

Z całą wszak samowiedzą wiarołomstwa żony, chce obronić jej kochanka mąż, a adwokat zaś, który sprawę wygrywa i tem samem przyczynia się do uniewinnienia oskarżonego równieżsam szaleje za tą kobietą i zna jej tajemnicę... Więc perwersja, zdziczenie obyczajów; O nie! to promieniuje dobroć ludzka i czar jej poezji przekształca nasze poglądy — rozumiemy i odczuwamy psyche bohaterów sztuki i linja ich postępowania wydaje się nam prostą i logiczną.

Przepyszna reżyserja p. Zelwerowicza uwypukliła i wycieniowała wszystkie dodatnie sceny sztuki przy wydatnym współudziale artystów, to też mieliśmy prawdziwy koncert gry aktorskiej. Na pierwszym miejscu należy wymienić p. Zelwerowicza, który formalnie wycyzelował swą rolę, umiejętnie i subtelnie sekundowała mu p. Zachorska, a zresztą, by sprawiedliwości stało się zadość, należy wymienić wprost cały afisz, więc: Dunin-Osmólska, Gromnicka, Biegański, Myszkiewicz, Garlikowski, Zieliński, Wyrzykowski, Warnecki. Dekoracje p. Drabika piękne.

Teatr Miejski w Łodzi.

„Pygmalion", komedja w 5 aktach J. B Shawa, reż. Al. Węgierko.

„Stał się cud i ożył zimny posąg", tak głosi legenda, lecz może większym cudem jest tchnąć płomień świadomości swych praw człowieka, w duszę biednej istoty, która do tej pory, żyła tylko fizycznym istnieniem.

Byliśmy tej przemiany świadkami niedawno w teatrze i przed oczami naszemi modernizował się mit, ujrzeliśmy żywą Galateę w nowoczesnym wydaniu. Shaw w tej komedji jest wiernym następcą „lorda Paradoksa" i zacięcie walczy z odwiecznymi wrogami społeczeństwa angielskiego: z konwencjonalizmem i obłudą. Jego świetne djalogi skrzą się perłami humoru i lśnią ostrzem dowcipu: nic nie ostoi się przed jego satyrą; schłosta i wydrwi konwenanse i przesądy klasowe, aż ukaże nam odartą z osłonek „świętoszkostwa" i cynizmu — nagą, czystą prawdę. Ciekawie się przysłuchujemy, nawet przez całe pięć aktów, historji ulicznej kwiaciarki, która stała się naraz wielką damą i to w najbardziej dodatnim znaczeniu tego słowa.

Młody uczony, profesor fonetyki, Higgins, próbuje swej metody na Elizie, kwiaciarce londyńskiej, pochodzącej z najniższych sfer społecznych. Eliza jest dlań niejako objektem doświadczalnym i w tej formie, poza zewnętrznemi cechami, nie jest dla niego wcale interesująca. Młodemu uczonemu eksperyment udał się nadspodziewanie, ujrzał bowiem naraz koło siebie, nietylko elegancką, czarującą kobietę, podbijającą urokiem swym najwytworniejsze towarzystwo, ale z przestrachem wprost, spostrzegł istotę o duszy subtelnej, mądrym i wnikliwym intelekcie. Przemiana dokonała się całkowicie, a próba się udała. Uliczna kwiaciarka zapałała jednak uczuciem do swego duchowego twórcy i potrafiła silnie zaznaczyć swą indywidualność, a nawet zmusić go do pokochania siebie; miast uczenicy i mistrza, idzie w przyszłość, po drodze życia, dwoje wolnych ludzi, którzy będą dla siebie oparciem w trudnych chwilach.

Na tle tej fabuły, Shaw potrafi zręcznie ukazać nam smiesznostki i przywary pewnych sfer, umie zabłysnąć całą gamą swego talentu i pełnemi garściami rozrzucać paradoksy, to też Pygmalion, mądra i subtelna komedja, może zawsze liczyć na zasłużone powodzenie.

Reżyserja p. Węgierki nadzwyczaj interesująca, on sam zaś w głównej roli, jako profesor Higgins — dał nam świetną i ciekawie przemyślaną kreację. Gra p. Jarkowskiej odpowiadała w zupełności intencjom autora i stała na wysokości zadania. Zarzuciłbym jej jedynie nieco groteskawe potraktowanie roli w pierwszym stadjum, ale subtelnością i wnikliwem ujęciem postaci, wynagrodziła nam te drobne braki. P. Janowski jak zawsze bez zarzutu. P. Kijowski trochę papierowy. P. Dunajewska dała nam dobry portret wytwornej damy. P. Jakubińska — przeciętna.

Dekoracje p. Mackiewicza nadzwyczaj ciekawe i daleko odbiegają od wszelkiego szablonu i pozostawiają po sobie trwałe wrażenie.

Henryk Czesław Oppenheim.

Kącik humoru.

Uczony i kobieta.

Edisson, który wszystko sam sobie zawdzięcza, nie odebrał salonowego wychowania, wykazuje też pewne braki w tym względzie.

Razu jednego Adelina Patti, bawiąca właśnie w Ameryce, wyraziła chęć poznania wielkiego wynalazcy. Życzeniu jej stało się zadość i Edisson był oczarowany urokiem i wdziękiem obejścia słynnej śpiewaczki. Nie przyzwyczajony do salonowej konwersacji, uczony łamał sobie głowę nad wynalezieniem odpowiedniego frazesu i wkońcu z zadowoleniem wypowiedział zgrabny, jak mu się zdawało, komplement: jakżeż mile patrzy się pani swoimi małemi oczami."

Przyjaciel, który był z nim razem, zwrócił mu później uwagę, że nie należy prawić kobiecie tego rodzaju grzeczności. Edisson był szczerze zmartwiony i zapragnął swą niezręczność zatuszować. Udał się więc szybko do mieszkania śpiewaczki i wyrecytował jednym tchem: „przepraszam panią za nazwanie jej oczu małemi". U pani jest wszystko wielkie i oczy i usta i ręce i nogi.

Nie wiemy niestety, jak artystka na ten powtórny komplement zareagowała.

Redakcja i Administracja: Łódź, ul. 6 Sierpnia Nr. 37.

Prenumerata mies. Zł. 1,80.
„ kwart. „ 5.—

Wydawca i Redaktor: Henryk Oppenheim. Druk. H. Tarkowskiego, Łódź, ul. Cegielniana 55. Tel. 34-86.



„Nieznany ojciec".
W rolach głównych znakomici artyści Reginald Denny i Barbara Kent. Wł. Universal Pictures Corporat.